

Jan Rokita: Kwestia gwarancji

Państwo polskie nie może się godzić na taki stan rzeczy, w którym niebezpieczna i grożąca w każdej chwili rozlaniem się wojna miałyby się tlić za polską wschodnią granicą przez najbliższe sto lat, niczym konflikt na Bliskim Wschodzie. A tak właśnie by się stało, jeśli politycznym skutkiem obecnej wojny nie okazałoby się jasno gwarantowane bezpieczeństwo Ukrainy – pisze Jan Rokita w felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Każdy rozumie, że Ukraina mogła przystąpić do skutecznej obrony przed rosyjską agresją wyłącznie dzięki masowym dostawom amerykańskiej (i nie tylko amerykańskiej) broni. Jeśliby te dostawy coraz to lepszej broni pewnego dnia ustały, Ukraina musiałaby na powrót, tak jak stało się to niegdyś w XVIII wieku, przyjąć do wiadomości polityczny status kolonii rosyjskiej, i co najwyżej w akcie sprzeciwu wieść przez czas jakiś wojnę partyzancką. To zatem, co obserwujemy obecnie w polityce zachodniej, czyli mozolny i poplątany proces łamania kolejnych barier dostaw coraz cięższego i coraz bardziej ofensywnego wyposażenia dla armii ukraińskiej (kolejno: artyleria, wozy bojowe, systemy antyrakietowe, czołgi, teraz samoloty, a za chwilę rakiety średniego zasięgu) – jest warunkiem możliwości kontynuowania wojny przez Ukrainę. Jeśli jakieś polityczne przeciwności lub zawikłania doprowadzą w końcu do zahamowania tego procesu, Kijów zacznie szybko tracić zdolność prowadzenia wojny

i wcześniej czy później skazany zostanie na polityczną uległość wobec Moskwy. To są truizmy, ale jak możemy obserwować, nawet truizmy łatwo nie przenikają do świadomości wolnego świata.

Jest jednak również druga strona tego medalu: polityczne warunki możliwości wszczęcia i kontynuowania inwazji przez Moskwę. Jednym z nich, a tak naprawdę pierwszorzędnym, był od początku brak realnych gwarancji bezpieczeństwa Ukrainy, co w praktyce oznaczało, iż na Kremlu mogła zapaść decyzja o inwazji, bez obawy o uwikłanie się przez Rosję w jakąś szerszą wojnę. Gdyby rok temu w Moskwie skalkulowano, iż Ukraina, choćby hipotetycznie, może być broniona przez Amerykę lub jej sojuszników, akt inwazji stałby się tym samym politycznie niemożliwy. W taki oto sposób mówił ostatnio na ten temat w Kijowie były brytyjski premier Johnson: „Jaki jest rezultat niespełniania naszych obietnic i nieprzyjmowania Ukrainy do NATO?” I sam sobie odpowiadał: „Tym rezultatem jest wielka wojna w Europie” (cyt. za Radiem Swoboda).

*Pokój na wschodzie Europy
nie jest możliwy do
zaprowadzenia bez politycznej
konstrukcji realnych, tzn.
efektywnych gwarancji
bezpieczeństwa dla Ukrainy*

Rzecz jednak w tym,
że o ile zmiana
polityki dostaw broni
może nastąpić w
trakcie wojny, a
nawet pod wpływem
jej rozwoju, o tyle
gwarancje
bezpieczeństwa

mogą zostać udzielone tylko przed wybuchem wojny albo jako warunek jej zakończenia. Niestety, po rozpoczęciu wojny jedyny sposób na udzielenie „gwarancji” – to bezpośrednio zaangażowanie armii

sojuszniczych w działania wojenne. Dlatego to, co z taką szkodą dla pokoju i bezpieczeństwa Europy zostało skandalicznie zaprzepaszczone przed lutym 2022 roku, nie jest teraz wcale łatwe do naprawienia. Ta trudność nie zmienia jednak faktu, iż pokój na wschodzie Europy nie jest możliwy do zaprowadzenia bez politycznej konstrukcji realnych, tzn. efektywnych gwarancji bezpieczeństwa dla Ukrainy. Długotrwała wojna może przechodzić okresy krwawej intensywności albo czasowego uspokojenia. Jednak mało realistyczne byłoby założenie, iż pewnego dnia Moskwa, tak po prostu, rozmyśli się i ostatecznie porzuci rozpoczęte na nowo zabiegi o „zbieranie ziem ruskich”, stanowiące, co nie bez racji podkreśla Putin, historyczny sens jej mocarstwowej egzystencji. Samo militarne czy gospodarcze osłabienie Rosji, nawet jeśli miało okazać się faktem, w żaden sposób nie załatwia tego problemu. Pokoju na wschodzie Europy nie będzie zatem tak długo, jak długo niepodległa Ukraina, w takich czy innych granicach, nie stanie się częścią jakiegoś systemu międzynarodowego ładu, gwarantującego długofalowe bezpieczeństwo, tak by dla Rosji wojna stała się politycznie niemożliwa.

W ścisłym kręgu władzy w Kijowie istnieje co do tego mocne przekonanie, o czym najlepiej świadczą podejmowane tam nieustannie próby sformułowania zasad takiego ładu. Ciągłe jednak nie wygląda na to, aby taka świadomość pojawiła się po stronie rządów – sojuszników Kijowa w obecnej wojnie. Ich dotychczasowa polityka, z USA na czele, jak na razie zmierza do tego, aby dostawami broni doprowadzić do poprawy frontowej sytuacji wojsk ukraińskich, a następnie, jako końcowy efekt, uzyskać jakiś rosyjsko-ukraiński rozejm. Tak właśnie ostatnio strategię rządu Bidena zdefiniował człowiek ze wszech miar kompetentny – ambasador Daniel Fried. Taki sam cel przyświeca polityce europejskiej. Chyba największy nonsens, jaki od początku swego urzędowania wypowiedział kanclerz Scholz, to ten, iż Rosjanie

powinni wycofać się z Ukrainy, bo wtedy: „będziemy mogli powrócić do porządku pokojowego, który działał i znów uczynić Europę bezpieczną” (cyt. za „Guardianem”).

Prezydent Zełeński próbował już wymyślać i nawet publicznie przedstawiać jakieś karkołomne konstrukcje intelektualno-polityczne, zawierające gwarancje. Były tam nawet takie dziwolągi, jak ten, iż gwarantami miałyby być m.in. Polska albo Izrael, jeden pomysł bardziej absurdalny od drugiego, chociaż każdy z odmiennych powodów. Te próby Zełeńskiego skończyły się fiaskiem. Podobnie, jak koncepcyjne prace tzw. „Grupy Jermak-McFaul”, która choć przedstawiła kilka raportów (np. na temat sankcji wobec Rosji), to jednak w kluczowej kwestii gwarancji również poniosła fiasko. Ostatnio wiceszef ukraińskiej dyplomacji Melnyk ujawnił na portalu „New Voice”, że choć w owej grupie, współkierowanej przez szefa kancelarii prezydenta Ukrainy i czołowego amerykańskiego dyplomatę, związanego z Obamą, Clinton i Bidenem, nad konceptem gwarancji pracowały „przez długi czas (...) naprawdę czołowe głowy z wielu krajów, w szczególności z Niemiec”, to w końcu owe głowy doszły do wniosku, iż kazano im wymyślić rzecz niemożliwą do wymyślenia. Dlaczego? Bo każdy nowy koncept, jaki był brany na tapet, okazywał się albo ułomny, albo redukował się do istniejącej od wielu lat klauzuli „casus foederis” z artykułu piątego Traktatu Waszyngtońskiego.

„Ja osobiście, szczerze mówiąc, nie widzę żadnej realnej i skutecznej alternatywy niż przystąpienie Ukrainy do NATO” – rozsądnie całą rzecz puentuje Melnyk. Po prawdzie, żeby dojść do takiej konkluzji nie trzeba było aż głowy McFaula i Fukuyamy, czy też owych „czołowych niemieckich głów”, których nazwisk nie znamy. Publicznie przyznali to już Kissinger w Davos i Johnson w Kijowie, choć ten ostatni musiał

*Szara strefa bezpieczeństwa
za polską wschodnią granicą
oznacza de facto tłącą się
nieustannie wojnę za tą
granicą*

zostać pozbawiony
urzędu brytyjskiego
premiera, aby
wysławić to, co jest
polityczną
oczywistością. Choć
ostatnio
upowszechniana jest
(również w Polsce)

dość karkołomna idea, wedle której amerykańskie dostawy coraz to nowych broni mają tworzyć stan ukraińskiego członkostwa w NATO „de facto”, co przystąpienie „de iure” będzie czynić zbędnym. Trzeba przyznać, że to wyjątkowo zwodniczy koncept. Z czołgami, samolotami, a nawet z raketami średniego zasięgu, Ukraina będzie mogła prowadzić wojnę i obronić się przed statusem moskiewskiej kolonii. To jedna rzecz. Ale z całym tym wyposażeniem nigdy nie będzie zdolna sprawić, iżby wojna dla Moskwy stała się politycznie niemożliwa. To samo zresztą dotyczy kwestii polskich intensywnych zbrojeń. Czyżby naprawdę, po dobrojeniu Wojska Polskiego, także polskie członkostwo „de iure” w zachodnim sojuszu stawało się rzeczą obojętną?

Nie tylko z ukraińskiej, ale i polskiej perspektywy cała rzecz ma pierwszoplanowe znaczenie. Państwo polskie nie może się bowiem godzić na taki stan rzeczy, w którym niebezpieczna i grożąca w każdej chwili rozlaniem się wojna miałyby się tlić za polską wschodnią granicą przez najbliższe sto lat, niczym konflikt na Bliskim Wschodzie. A tak właśnie by się stało, jeśli politycznym skutkiem obecnej wojny nie okazałoby się jasno gwarantowane bezpieczeństwo Ukrainy. Szara strefa bezpieczeństwa za polską wschodnią granicą oznacza *de facto* tłącą się nieustannie wojnę za tą granicą. A gra na taki scenariusz jest –

czas żeby o tym zacząć mówić otwarcie naszym zachodnim sojusznikom – grą na szkodę egzystencjalnych interesów państwa polskiego. Zwłaszcza młodzi powinni sobie uprzytomnić, że to oni zapłacą słońną cenę za skutki takiej gry, odbywającej się na szkodę przyszłych pokoleń Polaków. Dlatego taki pomysł na przerwanie działań wojennych powinien zostać przez Polskę otwarcie zakwestionowany podczas zbliżającego się wileńskiego szczytu NATO. Tymczasem jednak odnoszę wrażenie, że w naszym kraju, rozemcjonowanym przesunięciami, w tę, bądź we w tę, frontu donbaskiego, oraz szczerze współczującym humanitarnym spustoszeniom na Ukrainie, owo kluczowe i realne niebezpieczeństwo dotyczące własnej przyszłości ciągle nie jest zbyt dobrze rozpoznane.

Jan Rokita

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
